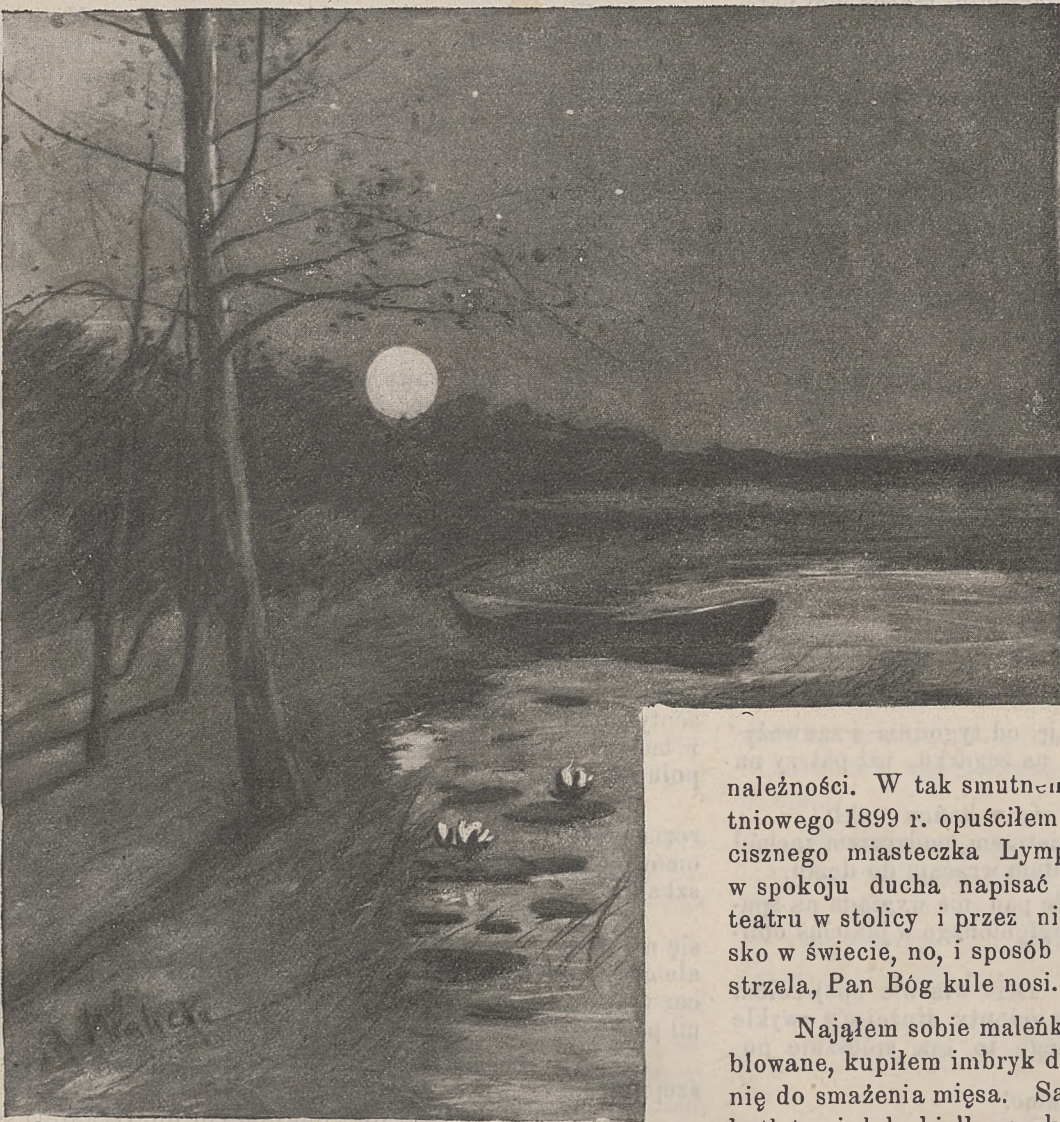




# WIECZORY RODZINNE



H. G. Wells.

## Pierwsi ludzie na księżycu.

Opowiadanie fantastyczno-naukowe opracowane z angielskiego przez M. St.

I. Pan Bedford spotyka się z panem Cavorem.

Gdy z okna wygodnego pokoju spoglądam na piękny krajobraz włoski, rozpostarty przede mną, zdaje mi się, że

wszystkie przygody, które wam chcę opowiedzieć, jak cała moja znajomość z Cavorem i to co potem nastąpiło, to dziwny sen tylko, a jednak ten dostatek otaczający mnie obecnie, i ta podróż do Włoch, jest skutkiem tych nadzwyczajnych przygód, które przechodziłem i dowodzi ich rzeczywistości. Ale zacznijmy od początku.

Nie poszczęściło mi się jakoś w interesach, straciłem całe swe mienie, i do tego jeszcze złośliwy piewien wierzyciel chciał mnie koniecznie wsadzić do więzienia za długi, gdyż na razie nie mając pieniędzy, nie mogłem pomimo najlepszych chęci, zapłacić mu

należności. W tak smutnem położeniu, pewnego dnia kwietniowego 1899 r. opuściłem Londyn, schroniłem się do zacisznego miasteczka Lympe w hrabstwie Kent, aby tam w spokoju ducha napisać świetną sztukę dla pierwszego teatru w stolicy i przez nią odrazu zyskać sławę, stanowisko w świecie, no, i sposób do spłacenia długu. Ale chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.

Nająłem sobie maleńkie mieszkanie, skromnie umeblowane, kupiłem imbryk do herbaty, dwa rondelki i patelnię do smażenia mięsa. Sam sobie gotowałem, żywiąc się kotletami lub kielbasą, kartoflami i jajkami na miękko. U piekarza zamówiłem dostawę codzienną chleba, z zapłatą w końcu miesiąca, w piwiarni dostawę piwa, na tych samych warunkach, i urządziwszy w ten sposób moje gospodarstwo, zabrałem się z zapałem i wiarą w przyszłość do pisania sztuki. Lecz po kilku dniach usilnej pracy, przekonałem się, że to wcale nie łatwo napisać dobrą sztukę dla teatru.

Lympe znajduje się na miejscu dawnego portu rzymskiego, Portus Lemanus. Świadczą o tem murowane z cegiel i mocne dotąd bulwary. Dziś morze znajduje się o pół

mili od Lypne; zamiast gwaru i ruchu jakie tu musiały dawniej panować, cisza zalega całą okolicę. Domek, który zajmowałem stoi na samotnej skale, skąd smutny rozciąga się widok na płaską, po części błotnistą okolicę. Nic nie przerywało mi pracy, a jednak postępowała ona bardzo powoli.

Raz o zachodzie słońca siedziałem przy stole pod oknem i mozoliłem się nad jakąś patetyczną sceną. Szukając natchnienia, wpatrywałem się w błękit nieba, ozłocony blaskami zachodu, gdy nagle na tem jasnym tle ujrzałem śmiesznie wyglądającą postać. Był to niski, okrągły człowieczek, z bardzo cienkimi nogami, a dużą głową. Ubrany w kostyum cyklisty, przez co nogi jego obciążone ciemnymi pończochami, zdawały się jeszcze cieńszymi, szedł, mocno gestykulując, potrząsając głową, chrząkając głośno i mrużąc coś do siebie. Stał naprzeciw zachodzącego słońca, wyjął zegarek z kieszonki, pilnie wpatrywał się w słońce i coś jakby liczył na zegarku, potem zawrócił się i szybkim krokiem udał się w stronę powrotną. Zjawienie się tej komicznej postaci zepsuło trochę mój patetyczny nastrój, a gdy dodam, że odtąd codziennie zjawiał się o zachodzie słońca, zawsze gestykulując, chrząkając głośno i mrużąc, to przynajmniej, że istotnie mi przeszkadzał w pracy, gdyż obudził we mnie ciekawość i chęć dowiedzenia się, kim był i co robił w Lypne ten dziwak. Postanowiłem zapytać go o to otwarcie, i jakoś w tydzień po pierwszym jego ujrzaniu, gdy stanął na zwykłym posterunku na drodze, naprzeciw zachodzącego słońca, zbliżyłem się ku niemu i rzekłem:

— Chwileczkę, szanowny panie!

Wyczytałem zdziwienie w jego bystrych, piwnych oczach, ale odrzekł mi uprzejmie:

— Chwileczkę, z przyjemnością, mój panie. Jeżeli zaś dłużej życzy pan sobie ze mną pomówić, to bądź pan łaskaw towarzyszyć mi w przechadzce, bo czas mój skrupulatnie jest obliczony.

— Bardzo chętnie będę panu towarzyszył — odrzekłem — sądząc, że to jest czas przeznaczony na codzienną pańską przechadzkę.

— Tak jest. Przychodzę tu podziwiać zachód słońca.

— Nigdy tego nie przypuszczał.

— Jakto, mój panie?

— Bo pan zwykle więcej wtedy patrzysz na zegarek, niż na słońce.

— Doprawdy?

— Tak. Ja pana obserwuję od tygodnia, i zauważyłem, że pan raczej oblicza czas na zegarku, niż patrzy na słońce.

Zmarszczył brwi i zadumał się, w końcu rzekł:

— Oddycham świeżym powietrzem, podziwiam zachód słońca, idę sobie tą ścieżką, a potem wracam do domu.

— Ale gdzież tam! Wcale pan nie wygląda na spacerowicza, raczej na uczonego, zagłębionego w jakimś obliczaniu. Dziś na przykład.

— O, dziś! ale czekaj pan. Dziś właśnie spojrzełem na zegarek i zobaczyłem, że trzy minuty dłużej niż zwykle trwała moja przechadzka, dlatego to tak spieszenie powracam.

— Codziennie robisz pan to samo!

Spojrzał na mnie i zastanowił się.

— Może być, że robię; teraz tylko o tem pomyślałem... ale powiedz mi pan, o co chciałeś mnie zapytać?

— Właśnie o to!

— O to?

— Naturalnie. Dlaczego pan przychodzi tu co wieczór, mrużąc w ten sposób? Tu naśladowałem jego mrużenie.

— Mrużąc w ten sposób?

Spojrzał na mnie z widocznym zmieszaniem.

— Czy naprawdę ja tak mrużę? — zapytał.

— Co wieczór o jednej i tej samej porze.

— Nie miałem o tem pojęcia — rzekł widocznie za-

frasowany. Potem spojrzeł na mnie poważnie i dodał: — Widocznie weszło to mrużenie u mnie w zwyczaj, a ja tego nie spostrzegłem.

— Nieinaczej — odrzekłem.

Położył wskazujący palec na ustach i wpatrzył się w kałużę wody, stojącą na drodze, a po długiej chwili rzekł do mnie:

— Umysł mój bardzo jest zajęty. Pan chce wiedzieć, dla czego ja przychodzę tu codziennie o jednej godzinie, mrużąc w ten sposób? A ja nic nie wiedziałem, iż to robię... Bardzo pana za to przepraszam, bo to musi panu przeszkadzać?

Tak wysoka delikatność odrazu mnie rozbroiła, powiedziałem tedy miękko.

— Cokolwiek. Sam pan pojmie, gdybyś pan był w mojem położeniu i pisał sztukę dla teatru!

— Nigdybym tego nie mógł napisać.

— Lub każdą inną pracę umysłową, która wymaga skupienia myśli.

— Rozumiem się — odrzekł i zamyślił się. Miał tak skruszoną minę, iż w głębi duszy zacząłem się uważać za napastnika, który czepia się porządnym ludziom za to, iż idąc na publicznej drodze, mrużą sobie pod nosem.

Nieznajomy rzekł po chwili:

— Muszę się odzwyczaić od tego mrużenia koniecznie.

— A jeżeli to pana będzie krępowało? Zresztą, poznawszy pana, to ja raczej powinienbym go przeprosić za...

— O, wcale nie — przerwał mi spieszenie. — Jestem panu mocno obowiązany. Powinienem się wystrzegać podobnych niedorzeczności. Na przyszłość już tego nie będzie.

Teraz ja byłem zawstydzony i rzekłem nieśmiało:

— Spodziewam się, że moja impertynencya...

— Ależ nie, panie, bynajmniej.

Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę, uchyliłem kapelusza i powiedziałem mu dobrywieczór, on uczynił to samo i każdy poszedł w swoją stronę.

Obejrzałem się po chwili i postać jego dziwnie wydała mi się zmieniona: zdawał się być jakby skurczony, przygarbiony i zły byłem na siebie za to, że wymawiałem mu jego mrużenie, bo żał mi się go zrobiło.

Przez dwa dni następne nie widziałem go wcale, ale wciąż o nim myślałem, gdyż zdawał mi się być doskonałym sentymentalno komicznym typem, który chciałem umieścić w mojej sztuce. Trzeciego dnia około piątej godziny po południu, przyszedł mnie odwiedzić.

Zdziwiła mnie wielce jego wizyta; przez pół godziny rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, aż nagle bez żadnych omówień zapytał mnie, czy nie odstąpiłbym mu swego mieszkania.

— Widzi pan — powiedział do mnie — bynajmniej się nie dziwię, że nieprzyjemne panu było moje mrużenie, ale co pan chce, od kilku lat codziennie chodziłem na spacer w tę stronę, teraz ciężko mi się od tego odzwyczaić, to mi psuje cały porządek dnia.

— A czy innej przechadzki niema w Lypne? — szepnąłem.

— Nie ma. Przez dwa dni ubiegłe dopytywałem się o to napróżno. I teraz gdy przyjdzie czwarta godzina po południu, czuje się formalnie wykolejony.

— Ależ, drogi panie, jeżeli to dla pana jest rzeczą tak ważną.

— Żywością, panie, żywością kwestyą dla mnie. Bo widzi pan ja jestem... ja jestem badaczem i od kilku już lat pracuję nad pewnym wynalazkiem. Mieszkam w tym oto domu z wysokimi biłymi kominami, i w tym właśnie czasie doszedłem do pewnego... hm, hm, odkrycia, które jest wynikiem długich badań naukowych, jeżeli wynalazek mój uda mi się zastosować praktycznie, to będzie on jednym z najważniejszych wynalazków, jakich ludzie dokonali. Teraz

pojmięsz pan łatwo, że w podobnych okolicznościach cały mój umysł pochłonięty jest różnemi kombinacyami, próbami, doświadczeniami, a właśnie w czasie mej przechadzki popołudniowej miewałem najszcześniejsze pomysły.

— Ale proszę pana, w takim razie, nie uważać na mnie, lecz jak poprzednio niech pan tu spaceruje.

— Nie, to już nie może być. Przedtem nie wiedziałem zupełnie o tem mruczeniu, a teraz wiem, i spacerując tu miałbym uczucie, że panu przeszkadzam w jego pracy literackiej, poczucie to przeszkadzałoby mi zebrać myśli... Jeden jest tylko na to sposób, żeby mi pan odstąpił swe mieszkanie.

Teraz ja się zastanowiłem. Nie byłem od tego, aby nie zadowolnić jego życzenia, gdyż w ogóle bardzo lubiłem wszelkie zamiany, byłem rzutny, ruchliwy, a wiedziałem, że uczony badacz da mi z pewnością dobre odstępnę, które zasili chudą moją kasę, ale obawiałem się kłopotów ze strony gospodarza, mogącego rościć słuszne pretensje za to, że rozporządza w ten sposób jego domem. Zaciekawiał mnie bardzo jego wynalazek, broń Boże, abym chciał z niego skorzystać, ale ten człowiek cały oddany nauce, interesował mnie wielce. Zapytałem go otwarcie, nad jakim wynalazkiem pracuje.

(d. c. n.)



## Pogadanki z dziedziny chemii.

### X. Jaka jest natura związków chemicznych.

Wspominaliśmy kilka razy, że jak dotąd znamy około 80 pierwiastków, które mogą się łączyć pomiędzy sobą po dwa. Jeżeli dwa jakieś pierwiastki łączą się między sobą, to związek taki nazywamy prostym. Sod i chlor są pierwiastkami chemicznymi; łącząc się dają sól kuchenną, która jest przeto związkiem prostym. Takich prostych związków jest dużo, gdyż chlor łączy się nie tylko z sodem, ale i z innymi pierwiastkami, podobnie jak jod, brom, siarka, fosfor i t. d.

Nazwijmy tego rodzaju związki, składające się z dwóch pierwiastków, związkami pierwszego stopnia. Jeżeli będziemy badali ich zachowanie się, to zobaczymy, że i one okazują skłonność do łączenia się pomiędzy sobą.

Wspominaliśmy już, że żelazo łączy się z tlenem, tworząc związek pierwszego stopnia. Dodajmy do takiego związku kwasu siarczanego, a nastąpi połączenie, które będzie zawierało kwas siarczany z jednej strony, z drugiej zaś żelazo, i tlen, które jest zieloną solą, zwaną siarczanem żelaza. Taki związek nazwijmy związkiem drugiego stopnia.

Ale i takie związki drugiego stopnia ulegają ściśle określonym prawom.

Zanieśmy chemikowi jakikolwiek bądź związek pierwszego lub drugiego stopnia, a on nie tylko powie nam, jakie pierwiastki tam się znajdują, ale nawet z wielką ścisłością określi, ile na wagę jednego pierwiastku przypada innego pierwiastku; nie ma bowiem nic tak akuratnego, jak sama przyroda, a kiedy już poznaliśmy jej prawa, to raz na za-

wsze możemy się niemi kierować, gdyż są one niezienne. Otóż w chemii udało się już nam poznać prawa przyrody, rządzące związkami pomiędzy pierwiastkami.

Pierwsze z owych praw brzmi jak następuje. *Jeżeli dwa jakieś pierwiastki łączą się chemicznie ze sobą, to tylko w stałych stosunkach wagowych.*

Wiemy już, że woda składa się z tlenu i wodoru. Nie wyobrażajmy sobie jednak, że może istnieć woda, zawierająca więcej tlenu, aniżeli jakakolwiek bądź inna woda. Możemy brać wodę z chmur, z oceanu, ze źródeł podziemnych, z pod bieguna, z pod równika, skąd tylko nam się podoba, a zawsze znajdziemy, że na tyle i tyle gramów wodoru przypada tyle i tyle gramów tlenu. Żaden chemik na świecie, a nawet sama natura nie może utworzyć wody, która by zawierała choćby jeden atom więcej tlenu lub wodoru, aniżeli wszystkie wody w świecie. W każdej kwarcie wody, bez względu na jej pochodzenie, znajduje się ściśle raz na zawsze określona ilość tlenu i również ściśle określona ilość wodoru. Sto gramów tlenu łączy się ściśle z  $12\frac{1}{2}$  gramami wodoru, dając  $112\frac{1}{2}$  grama wody. Mając więc 100 kilogramów tlenu musimy go połączyć z  $12\frac{1}{2}$  kilogr. wodoru, ażeby otrzymać wodę, przyczem zawsze otrzymamy  $12\frac{1}{2}$  kilo. wody. Jeżelibyśmy wzięli cokolwiek więcej wodoru, czy też tlenu, aniżeli potrzeba niezbędnie, to nadmiar ten pozostanie nie złączony chemicznie, to znaczy w stanie wolnym.

Podobnie jak z wodą, dzieje się ze wszystkimi substancjami, utworzonymi z pierwiastków. Naprzykład kwas siarczany składa się zawsze ze 100 części na wagę siarki i 150 części tlenu; składu tego nie zmienia żaden nowy sposób fabrykacji. Nasze zwyczajne wypalone wapno składa się z metalu zwanego wapniem oraz tlenu, przyczem na każde 250 jednostek wagowych np. kilogramów wapna przypada 100 części tlenu; stosunek ten nie zmienia się bez względu czy otrzymujemy wapno z marmuru, czy z kamienia wapiennego, czy z kredy, czy z kości, czy ze skorupki od jaj, czy z muszel morskich?

Czem się to tłumaczy? Dlaczego nie można otrzymać chemicznej substancji, w którejby się znajdowało cokolwiek więcej takiego pierwiastku, aniżeli przepisuje chemia?

Widocznie pochodzi to z samej natury siły przyciągającej, która istnieje między jakimiś dwoma pierwiastkami. Siłę tę można porównać do dobrze uregulowanego aparatu, dla zaspokojenia którego potrzeba ściśle odważonej porcji, ani mniejszej, ani większej od normalnej.

Wl. U.

## Sebastyan 'Klonowicz.

(1551-1602)

Ciociu!—zawołała trzynastoletnia panienska, wbiegając do pokoju. Nasza nauczycielka literatury kazała nam na przyszłą lekcję przysposobić wykład. Temat mamy dowolny, chodzi tylko o to, aby był z naszej literatury i wieku XVI ego. Niech mi ciocia poradzi, bo ja doprawdy nie wiem, kogo wybrać. Reja już mieliśmy w zeszłym kwartale,



*Sebastyan Klonowicz.*

Górnickiego tak samo, a Kochanowskiego tyle panienek już sobie wybrało...

— Miej w takim razie wykład o Klonowiczu, będzie nawet bardzo na czasie, gdyż w tym roku przypada trzechsetna rocznica jego śmierci, odpowiedziała po pewnym namyśle ciocia.

— Kiedy, niestety, przyznać się muszę, odrzekła panienka, że o Klonowiczu wiem bardzo mało.

— Nic to nie szkodzi, niedawno właśnie o tym poecie czytałam, mając go więc świeżo w pamięci, mogę ci wyborne dać pewne wskazówki.

— A to doskonale, zacznijmy choćby zaraz, mam teraz całą godzinę wolną, a ciocia?

— I ja tak samo, do obiadu jeszcze daleko. Słuchaj więc uważnie, zaczynam:

Sebastyan-Fabian-Klonowicz, mieszczanin z urodzenia, przyszedł na świat w 1551 r. w Sulimierzycach w Wielkopolsce, w powiecie Odolanowskim na granicy Szlązka i tam, jak się zdaje pierwsze pobierał nauki. Dalsze wykształcenie odebrał w Krakowie, gdzie na tamtejszej akademii uzyskał tytuł doktorski.

Z Krakowa udał się na lat kilka do Lwowa, a potem już na stałe osiedlił się w Lublinie, ożeniwszy się z Agnieszką Wiślicką, kobietą niestety bardzo złośliwą, która go wciągnęła w rozliczne procesy, naraziła na utratę ciężko zapracowanego mienia, a w chorobie opuściła i pozwoliła umrzeć w niedostatku w szpitalu OO. Jezuitów w Lublinie d. 29 sierpnia 1602 r.

Przedtem jednak Klonowicz był pisarzem radzieckim, sędzią i po dwakroć burmistrzem Lublina, ciesząc się ogólnym poważaniem, tak z powodu prawości charakteru, jak i swego talentu, chociaż nie brakło mu niechętnych wśród tych, których wady, w utworach swoich wytykał. Życie jego w ogóle, zwłaszcza ostatnie lata, nie były szczęśliwe i temu zapewne należy przypisać wczesną stosunkowo śmierć naszego poety.

Teraz zanim przejdziemy do dzieł Klonowicza, powiem ci trochę o stanowisku, jakie zajmuje w naszej literaturze. Stojąc na przełomie XVI i XVII wieku, Klonowicz pisze wprawdzie jeszcze częściej po łacinie, ale jest

pierwszym poetą polskim, biorący za temat do swych utworów motyw ludowy, opisując w nich zwyczaje miejscowe, gdyż nawet Kochanowskiego *Sobótka*, jako utwór fantastyczny, za opis rzeczywistych zwyczajów ludu ówczesnego po czytaniu być nie może. Stąd miejsce Klonowicza w naszej literaturze bardzo poważne i niepoślednie, tem więcej, że walczy on z niebywałą dotychczas śmiałością myśli, w swych utworach przeciw ciemności ówczesnego społeczeństwa i liczny przesądom.

Zaznaczając na każdym kroku, że nie urodzenie, ale cnota i zalety osobiste i umysłowe prawdziwe szlachectwo stanowią.

Teraz, moje dziecko, podobny sposób myślenia wydaje ci się całkiem naturalny. Niestety jednak trzysta lat temu było ono nowem a raczej jakby zapomnianem. Tym bardziej więc godną uwagi jest śmiałość i odwaga z jaką Klonowicz karci, potępia surowo i wyszydza przywileje jednego stanu ludności ze szkodą drugim.

Utwór, w którym najsmielej głos przeciwko ówczesnym wadom społecznym podnosi, jest „Victoria Deorum” (Zwycięstwo bogów). Przedstawia tu Klonowicz, pod postacią walki Tytanów z Jowiszem, walkę złych skłonności z dobrymi, w których naturalnie dobre zwyciężają.

Zawód swój literacki zaczął Klonowicz od poematu opisowego p. t. *Roxolania*; zawierającego opis Rusi Czerwonej. W bardzo malowniczy i urozmaicony choć niezbyt poetyczny sposób opisuje tu nie tylko naturę, miasta tamtejsze z ich pamiątkami historycznymi, ale i zwyczaje, pracę i podania ludu, pokazując go nam wśród jego smutnych i wesołych obrządków i okresów życia codziennego.

Roxolanię przetłumaczył na język polski Władysław Syrokomla, który bardzo cenil tego poetę, i napisał o nim

*Z widoków Warszawy.*



*Targ na Maryensztadzie.*

*St. Masłowski.*



Wypadek w podróży.

poemat p. t. *Zgon Acerna*, Klonowicz tak siebie ówczesnym zwyczajem podpisywał, tłumacząc swoje nazwisko na łacinę. Klon po łacinie *acer*, Klonowicz — *Acernus*.

Z polskich utworów najpiękniejszymi pamiątkami po Klonowiczu, zostały dwa poemata. „*Flis, albo spuszczenie statków Wisłą*” i „*Worek Judaszów*”. W tym ostatnim, ma luje nam dokładnie ówczesne obyczaje i sprawy krajowe; mając najwięcej zwrócone oczy na lud nasz i miasta.

*Flisa* napisał w dwutygodniowej żegludze do Gdańska. W nim nietylko, że oddał obraz drogi wiślanej i kraju nadbrzeżnego, który przepływał, ale zostawił wizerunek ówczesnych dzielnych flisaków i zachował ich język i podania. Jedno z nich przytoczymy:

„*Niemen, Bug i bystra Narew*, połączywszy się z sobą, przyszły do nowego-dworu, ofiarując usługi swoje królowej rzek naszym, *Wiśle*. Ale zazdrość opanowała *Narcu*; dumna, piękna barwą swych wód, zapozwała *Wisłę* przed sąd, ażeby ten wydał wyrok, która z nich dorodniejsza. Wybrany na sędziego *Strumień*, ów co u *Gniewa* płynie, zasiadł poważnie i długo badał, długo rozważał, wreszcie wydał wyrok stanowczy, że królowa *Wisła* jest gładzsza i piękniejsza niż księżniczka *Narew*. Ta rozgniewana wraz z *Niemenem* i *Bugiem*, wezbrała wody swoje i chciała innem korytem popłynąć. Miejsce sądu nazwano *Gniewem*.”

Dotąd powieść Klonowicza. Podanie flisaków dodaje: że z powodu sądu i zawziętości odwiecznej *Narwi*, gdy ta zmuszona iść w służbę królowej *Wiśle*, rozdąsana ciągle, wód swych niebieskich nie łączy z białą wodą *Wisły* i dlatego rozdziela je długo jakby pas graniczny, zanim przyjmie jasną barwę swęj królowej i już poslušna, jak służebnica, spływa pokornie w jej orszaku do morza.

Dnia 10 Czerwca 1862 roku, odbyła się uroczystość, w miejscu urodzenia Klonowicza, w miasteczku Sulimierzycach, w Wielkim Księstwie Poznańskim.

W tym dniu, przy licznie zebranych obywatelstwie, odsłonięto pomnik, wystawiony dla uczczenia pamięci poety. Ma postać obeliska na 24 stóp wysokiego. Po czterech stronach sześcianu, na którym igła obeliskowa spoczywa, są napisy. Na stronie naczelnej: „*Sebastyanowi Klonowiczowi, Ziolkowie staraniem Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego*.”

Na odwrotnej:

„*Urodzony w Sulimierzycach roku 1551. Umarł w Lublinie roku 1602*”

Na stronie bocznej pierwsze tytuły dzieł po łacinie pisanych:

„*Victoria Deorum. Roxolania.*”

Na drugiej:

„*Worek Judaszów. Flis.*”

Na zakończenie tej pogawędki — rzekła ciocia przeczytam ci ostatni ustęp z poematu Syrokomli, „*Zgon Acerna*” o którym już pierwej wspominałam, choć dodam, że według najnowszych badań, Klonowicz nie umarł w takim niedostatku i opuszczeniu, jak pierwej mniemano.

A więc słuchaj:

„Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,  
A lzy długo tajone ze źrenic wytrysły;  
Stęknął. . i głosem cichym, urwanym co chwila,  
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.  
Bracia moi, ziomkowie, dobrzy towarzysze!  
Żebraćym testamentem cóż ja wam zapiszę?  
Dobry Wojciechu Oczko, \*) cóż zostanie tobie?  
Tyś w życiu, we zlej doli, w ostatniej chorobie,  
Zawždy byleś mi bratem — więc nie gardź ofiarą:  
Mam pieśni Horacego i Bibliję starą,  
Tam znajdziesz pokarm duszy, tam serca osłodę...  
Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,

\*) Znany lekarz lubelski z owej epoki.

I zebrałem przez życie mnogie folijały;  
Ale na starość książki na chleb się przydały.  
Bom często łaknął chleba... bieda niedoładze!  
Tak odzież po odzieży, a księga po księdze  
Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze oponczę,  
Zabierz ją Bartoszu, gdy ja żywot skończę:  
Bc mnie włożyć do trumny dość starej sukmany...  
Wy, panie Mikołaju, ot, ten krzyżyk weźcie,  
Oddajcie waszej żonie, pocziwej niewieście,  
Co w ostatniej chorobie z dobrocią kibocęą  
Przysyłała mi jarzyn, lub owoców nieco...  
Pożegnaj swoją dźiatwę niech przyjmie gromada  
Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...  
Powiedz dźiatwie: że kiedy w trumnie się położę,  
Przyślę z nieba gościniec — pożegnania Boże...  
Wam zaś panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze,  
Przyjmijcie psa mojego, niech wam domu strzeże,  
Niedługo się naprzykrzy strzegąc wasze wrota;  
Zabije go pocziwa po panu tęsknota...  
Oto, bracia, już wszystko co miałem na świecie...  
Jeszcze mam do was prośbę, czyż spełnić zechcecie?...  
Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:  
Sercem, głową i pismem, służyłem sąsiadom;  
Wszakże pospołu z wami całe życie prawie  
Czyniłem sprawiedliwość na sądziońskiej ławie;  
Wszak kiedyś mem imieniem było miasto dumne...  
Złóćcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,  
Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie  
Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...  
A teraz, Bóg was żegna! odchodzę w świat nowy. .  
Ciężą mi... ach, jak ciężą cielesne okowy!..  
A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa...  
Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrwa...  
Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...  
Chryste!.. rozwiąż jej więzy...”

Tu mowa zakrzepła...”

a w kilka chwil, doktor Oczko, ujawnszy za puls chorego, uronił nad nim łzę ostatniego pożegnania; Klonowicz nie żył.

Zwłoki Klonowicza złożone były w kościele dawniej Jezuickim, obocnie katedrze lubelskiej. Jedynym śladem miejsca ostatniego spoczynku tego poety była tablica marmurowa. Nie wiem teraz, drogie dziecko, czy ją odrestaurowano bo dawno bardzo nie byłam w Lublinie.



## Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

**Z**e koloniści mogą nie trafić na jego ślad, że mogą nie przyjść nigdy, nad tem nie zastanawiał się wcale. Wolał pieścić małpkę, zwierzątko objęło jego szyję i przytulało kosmaty łebek do twarzy Stefana.

— Będzie ci na imię Kadysia — powiedział głośno towarzyszkę niewoli. Kadysia przyjęła z zadowo-

leniem kares i nazwisko, kiedy jednak zanadto natarczywie żądała pieszczot, rzucił ją bez ceremonii na ziemię a sam zabrał się do rozpalenia ognia.

— Może dym zwróci uwagę kolonistów — myślał przygotowując paliwo z korzeni cedru.

Zajęcie było dla niego szczęściem, skracało mu nieznośnie wlokący się czas. Nic nie ciążył tak więźniom, jak bezczynność. Wypił łyk koniaku dla pokrzepienia sił, bolały go jednak bardzo kości i postanowił przedewszystkiem odpocząć.

Młodość ma w sobie niewyczerpany zapas zbawczych środków, mimo niepokoju, udręczenia, niebezpieczeństwa głodowej śmierci, usnął Stefan na gołej ziemi, tak smacznie jak w wygodnym łóżku. Małpka pilnowała pana i zdawała się drzeć także.

Obudził go przykry sen, którego nie mógł sobie przypomnieć. Zerwał się, siadł na posłaniu, przecierał oczy, dziwił się ciemnocie.

— Gdzie Marcinowa? — pomyślał. Ona to budziła go zwykle gdy zasnął w baraku. Dotknął ręką wilgotnej ściany i nagle wróciła mu świadomość. Byłóż więc prawdą, że jest już w grobie skazany na śmierć głodową.

— Gdzie są koloniści, gdzie Tomasz, Jasiek, Stach, dlaczego nie przychodzą go ratować? Może wymordowali ich Indianie! — zawołał zrywając się z ziemi i niepokój o osadę oderwał myśl Stefana od własnego nieszczęścia.

Dwa razy groziło mu niebezpieczeństwo śmierci w Europie, a jednak uniknął jej szczęśliwie; mógł zginąć od zatrutej strzały Indianina, mógł zresztą zmarznąć na śniegu, on znalazł ocalony cudem miłosierdzia Bożego, czyż miał prawo wątpić? Skąd wie, że nie dozna go teraz? Spojrzał w głąb ciemnej jamy, była mu mniej straszną, bo pojął, że niema tak ponurej przepaści, nad którą nie unosiłby się krzepiący powiew nadziei w wszechpotężną opiekę Stwórcy.

Pisk małpy przerwał rozpamiętywanie Stefana. Zwierzętko znalazło wprawdzie trochę korzeni na pokarm, i ono jednak także przykryło sobie ciemność więzienia. Siedziało przytulone do ściany i narzekało żałośnie.

— Złego Kadysiu masz opiekuna, — sam on sobie nie umie dać rady — powiedział z westchnieniem Stefan wrócił do zamiaru rozpalenia ognia. Wprzód jednak okręcił drewnianą zapalniczkę niemi z kłębka, który znalazł w kieszeni; chciał przedłużyć ich światło, ale czynność swoją spełniał nadzwyczaj ostrożnie, żeby nie uronić ani jednej apalki. Były one teraz do grubych świeczek podobne, mógł śmiało próbować rozpaść ognisko.

Ułożył je z korzeni znalezionych w ścianach jamy, liści suchych, które jak złoty deszcz spadały w głąb dołu. Stefanowi pomagała dzielnie Kadysia, małpka szybko zwinnie wyrwała kłęczę z gliny, otrzepując się łapkami śli piasek zakurzył jej futerko. Łatwość z jaką ziemia stępowała pod nożem zwróciły uwagę więźnia.

— Może udałoby mi się wykopać schody w ścianie wyjść z przeklętej jamy — zawołał uradowany pomysłem.

Wyskrobał kilka dziur jedna nad drugą, pomagając sobie nożem, zaszedł po nich dość wysoko, małpka skoczyła mu na plecy. Drapali się oboje w górę. Stefanowi biło serce na myśl, że znalazł sposób opuszczenia dołu. Niestety radość trwała krótko, nóż trafił na silniejszy opór, jedyny więzień zachwiał się i upadł jak długi, nie zniechęciło go to do dalszych prób. Wszystkie jednak okazały się różne.

— Skacz! pokazałem ci drogę, uwolnij się ty przyjaźniej — mówił rozżalony Stefan do Kadysi, ale małpka nie chciała go opuścić. Podsadzał ją na własnych rękach, ucpeiał jej łapki o pokopane dziury, wszystko napróżno. Wzrała i obejmowała Stefana za szyję, lub drapała się po udach łebku zakłopotana uporem opiekuna.

Był jej wdzięczny. — Nie opuściła samotnika w biegu — myślał. Wracał małpce wolność, ale czuł, że więzienie bez Kadysi stanie się jeszcze smutniejszym.

Wysiłek przy kopaniu schodów zmęczył i wyczerpał Stefana, uczył pierwszy raz głód, próbował skosztować korzeni, oslizie wilgocią wzbudzały w nim odrazę. Walczył jakiś czas z pokusą, lecz nie potrafił jej przewyciężyć. Wiedział, że trzeba oszczędzać koniaku a jednak napił go się więcej może niż należało i został za to ukarany, bo nie przyzwyczajony do wódki, popadł w stan dziwnego obezwładnienia. Nie spał a jednak zamarła w nim wola, ciążyła mu okropnie głowa, chciał się otrząsnąć, wyprostować skórczone członki, daremnie jednak robił wysiłki, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Leżał na dnies jamy i czuł wstręt do samego siebie.

— Upiłem się, pierwszy raz w życiu — powtarzał nie mogąc oderwać myśli od tego jednego wrażenia, które wracało mu póki trwało odurzenie. Trwało ono nawet dość długo, pewnie kilka godzin, niestety powrót do rzeczywistości był tem smutniejszy, że czuł znów głód a nie miał go czem zaspokoić. Spróbował raz jeszcze gryźć korzenie, wybrał najmiększe, wytarł je starannie z wilgoci i jadł przewyciężając odrazę. Mało mu one dały pożywienia.

— Lepszy z nich będzie węgiel niż boefsteck — powiedział dla dodania sobie odwagi i zaczął krzątać się około rozpalenia ognia.

— Prędeż, Kadysiu, zbieraj korzenie, trzeba mieć zapas paliwa, wołał na małpkę, która skakała od ściany do ściany i robiła pocieszne miny. Wrócił mu humor razem ze światłem, był go przecieź tak długo pozbawiony! Przeglądał się swemu więzieniu, sterczały ze ścian grube korzenie przecięte kamiennymi rydlami Indian. Mogły służyć za opał należało tylko wyrwać je prędeż i wysuszyć w ciepłym ognisku. Wyciągnął już kilka, pomagając sobie nożem, kiedy spostrzegł nagle gruby kłęcz. Podniósł rękę dobył wszystkich sił, chcąc wyrwać korzeń ze ściany, ale rozmach okazał się zbyt dużym. Piaszczysta ziemia spadła pod stopy Stefana z takim hałasem, że małpka odskoczyła przerażona w głąb jamy. Chciał wziąć na rękę piszczącą Kadysię, kiedy spostrzegł świecący krążek. Dojrzała go i małpka, zapomniała o bólu, schwyciła żółtą blaszkę i uciekła w kąt jaskini.

— Oddaj, oddaj Kadysiu! prosił Stefan zaciekawiony nieznanym przedmiotem. Ale Kadysia nie myślała być posłuszną, schowała za siebie blaszkę, jak zwykły czynić psotny dzieciak i przekrzywiła, łebek wdzięcząc się do swego opiekuna.

Stefana śmieszyły miny małpki, lecz ciekawość to wielka pokusa. Odebrał blaszkę Kadysi, obtarł z ziemi, zbliżył pieniądze do ognia... i wyczytał z największym zdumieniem:

*„Sigismundus tertius rex poloniae”*

Dawny polski dukat w Brazylii! w głębi puszczy? Na dnies jamy pamiątka Wazów, Stefan oniemiał ze zdziwienia. Miał w rękę niezbity dowód, że już na paręset lat przed nim żył tu jego rodak, a wątpił jeszcze, czy nie ludzka go zmysły.

— Może ja mam gorączkę, może to, co mnie otacza jest tylko przywidzeniem? — mówił dotykając wilgotnych ścian dołu i chłodząc rozgrzane czoło. Daremnie jednak próbował rozbudzić się z dziwnego snu. Rzeczywistość, grożąca mu głodową śmiercią, istniała bez zmiany, ale i dukat nie był urojeniem.

Otwór, z którego wypadł pieniądz, znajdował się wysoko. Zebrał rozrzuconą na dnies jamy ziemię, usypał z niej mały wzgórek i wstąpiwszy nań, zaczął nożem pogłębiać dziurę, Kadysia skoczyła mu na ramię, wsadziła łapkę w otwór a po chwili wyciągnęła z niego kawałek zbutwiałego drzewa. Zaciekawiony nowym odkryciem spostrzegł, że to co, znalazła małpka, było starannie obrobioną klepką. Szukali teraz na wysięgi, znaleźli jeszcze kilka takich samych klepek, natrafili nawet na żelazną obrączkę, która je kiedyś spajała.

— Co to być może? — wołał rozgorączkowany cieka-

wością Stefan. — Jeżeli baryłkę napełniało, wino to wsiąkło od dawna w ziemię, ale jeżeli...

Nie dokończył rozpoczętego zdania, bo nagle pokazała się w głębi otworu jakaś duża blachą obita skrzynka. Natężył siły, podważył nożem pudło i wy dostał je z piasku. Było szczelnie zamknięte i zalutowane.

— Nie takie zamki otwierałem w Bremie — pomyślał próbując nożem uchylić wieko, ale spojenie stawiało silny opór, ostrze ześlizgiwało się po blasze.

— Znajdę i na to sposób — wymówił przez zaciśnięte niecierpliwością zęby. Przynął skrzynkę do ogniska, podniecił płomień klepką, potem wyjął gwóźdź z kieszeni i obsadził go w kawałku drzewa.

(d. c. n.)

## ZE ŚWIATA.

**Napad wieloryba.** Czterdziestu ludzi wybrało się w amerykańskiej barce *Cathleen* na polowanie na wieloryby. Ocalało tylko dziewięciu, którzy wynędziali i obdarci przybyli do portu Dominika, w Indyach Zachodnich. Od nich dowiedziano się następujących szczegółów niezwykłej katastrofy. — W odległości tysiąca mil od Barbados, kiedy barka *Cathleen* upolowała już trzy potężne wieloryby, została napadnięta przez czwartego, olbrzymiej wielkości. Właśnie ćwiartowano pokonane morskie potwory, gdy ujrzano na widnokręgu jeszcze jednego, co było już zupełnie niezwykłym powodzeniem. Natychmiast spuszczone trzy szalupy i zaczęto polowanie, w końcu trafiono wieloryba harpunem. Ale było to jakieś wyjątkowe zwierzę, bo nie tylko, że po długiej i straszliwej walce wyrwało się z rąk myśliwych, ale z całą siłą rzuciło się w stronę statku, uderzeniem wybiło kilka belek i naruszyło wiązania barki tak, że woda zaczęła nalewać się do środka. Zanim trzy szalupy z polowania zdążyły na ratunek, statek zatonął, a kapitan wraz z rodziną i pozostałymi marynarzami zaledwie zdołali uratować się na czwartej pozostałej łodzi i wziąć cokolwiek żywności i wody. Zapasy rozdzielono pomiędzy cztery szalupy. Każda otrzymała worek sucharów i beczkę wody. Wszystkie szalupy, wyruszyły w jednym czasie. Na drugi dzień jednakże nie wiadomo było, co się z niemi stało. Po jedenastu dniach strasznej nędzy i walki z morzem ujrzało dziewięciu rozbitków wybrzeże Dominika. O pozostałych 31 ludziach i ich trzech szalupach dotąd nic nie wiadomo.

**Przyjaźń kota ze szpakiem.** Pewien miłośnik zwierząt opowiada ciekawy fakt o zaprzyjaźnieniu się kota ze szpakiem. Ptak miał złamane skrzydło i nie mógł fruwać. Bawił się z kotem, jadł z nim z jednej miski i obaj przyjaciele obejść się bez siebie nie mogli. Pewnego razu, w porze obiadowej, kot rzucił się na szpaka, schwycił go w zęby, tak, że wszyscy obecni sądzili, iż go rozszarpie; tymczasem inna była przyczyna tego postępków, Oto kot wskoczył ze

szpakiem na stół i postawiwszy go w bezpiecznym miejscu, sam wybiegł za drzwi, gdzie czał się obcy kot, którego wyprzedził. Przyjaźń ptaka z kotem od tej pory utrwaliła się jeszcze bardziej.

## SZARADA.

T. K.

Przyjaciele moi mili,  
Czy będziecie się srozyli,  
Gdy wam zadam dziś szaradę,  
Która ma tę wielką wadę,  
Że nietatwa i zadługa.

Włoskie miasto <sup>\*</sup> *trzecia druga*,  
Pierwszą znajdzie w alfabecie,  
Drugą czwartą na kajecie,  
Po niej pisze się udatniej.  
Gdy wyjmiecie i z ostatniej,  
Wziąwszy wprzód *pierwszą drugą*,  
To znajdziecie ponad strugą,  
Rosnącą piękną krzewinę,  
Przystrojoną w koralinę.  
Wreszcie w całej dużo złota,  
Czy zgadnąć bierze ochota?

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ul. Wilhelm Zdobywca.

Z następujących sylab: a — a — an — a — ba — ci — eba — 7łwi — ol — fa — go — go — gra — ga — il — ja — ja — kies — kos — kles — krow — ków — lieu — masz — me — mi — na — na — ni — na — niol — ne — niu — nes — a — b — pa — ri — ry — rio — ron — ry — stro — so — sak — szard — szko — sto — sto — sto — sman — top — ta — ty — te — za — ży — ułożyć 21 wyrazów, których początkowe litery utworzyć mają imiona i nazwiska: słynnego kaznodziei oraz znakomitego malarza.

Znaczenie wyrazów: 1) Powieść historyczna, 2) Osada w gub. Rad. pamięt. nap. Tatarów. 3) Plemię germańskie znane z wędr. ludów. 4) Jeden z Apostołów. 5) Kardynał franc. 6) Panowania Ludwika XIII. 7) Współczesny malarz pol. 8) Córka Edypa. 9) Imię kilku królów angielskich. 10) Poemat Mickiewicza. 11) Poeta włoski z X w. 12) Imię żeńskie. 13) Słynny malarz włoski. 14) Cesarz rzymski. 15) Muzyk i kompozytor włoski. 16) Komedjopisarz grecki. 17) Słynny wódz ateński. 18) Rzeka w Niemczech. 19) Żona Henryka Brodatego. 20) Miasto n. Wisłą. 21) Założyciel państwa tureckiego.

## ROZWIĄZANIA DO Nru 33-go.

Zagadki: Litera L.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Sebastyan Klonowicz (z portretem.) — Targ na Maryensztadzie (ryc.) Wypadek w podróży (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: — Łamigłówni i rozwiązanie. — Dodatek: Wycieczka przez A. Z. (z ryc.) — Wiązanie wnuczek obrazek dramatyczny. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.



## WYCIECZKA.



Mały Janek wychowany w mieście, pojechał na wakacje do wujostwa. Wujostwo mieli dwóch synów, starszych od niego: Stefana i Adama.

Obaj chłopcy wzięli Janka odrazu w swą opiekę. Najpierw ustawili mu łóżko we własnym pokoju, gdzie Janek razem z braćmi musiał wstawać o szóstej rano. Potem nauczyli go grać w piłkę, wspinać

się zręcznie na drzewa, wywracać wspaniałe kozielki, pływać po stawie, jeździć konno i mnóstwo rozmaitych rzeczy, o których Janek nie miał dotąd żadnego pojęcia. Podobało mu się to wszystko ogromnie.

Wprawdzie przy tych sztukach, dwa szare ubranka mocno ucierpiały, ale Janek dużo zyskał. W mieście błąd był i wątły — tutaj utył i opalił się — w mieście lękał się psa, tutaj do krowy nawet podchodził odważnie.

Stefanek i Adaś, dumni z postępów swego ucznia, w ostatnim tygodniu wakacji urządzili jeszcze prześliczną wycieczkę.

Najpierw w przeddzień spaceru, wszyscy trzej poszli spać o 6-ej z wieczora, jak to postanowił najstarszy Stefanek.

Nazajutrz o trzeciej rano zerwali się już wszyscy trzej wyspani należycie, weseli i pełni sił.

Po ubraniu się w wełniane suknie, bo ranki były już chłodne, pobiegli do jadalni, gdzie czekało już na nich gorące mleko i wyborny razowy chleb, ze świeżym masłem.

Chłopcy prędko się z tem załatwili, i przed czwartą jeszcze wyruszyli w drogę.

Blade gwiazdy rozplywały się w jasnych smugach światła, bo słońce wstawało właśnie.

Janek po raz pierwszy w życiu ujrzał, jak z pośród zielonawych i różowych obłoków, na samym skraju horyzontu wychyliła się zwolna wielka ognista kula. Kula ta przybrała barwę złota, wzniosła się nad ziemię i nagle błysnęła nad głowami chłopców tysiącem świetlanych promieni. †

Stefan i Adam rozpoczęli uroczyste „Kie-

dy ranne wstają zorze,” a Jankowi wydało się, że w olbrzymim kościele za procesją idzie.

Na polu tymczasem rozpoczynał się ruch dzienny. Po świeżo uprawionej ziemi chodzili siewacze i sypali w spulchnioną ziemię złote ziarna pszeniczne. Po ostrych ścierniach snuło się bydło i białe duże już gęsi. Do lasu zaś, do którego i chłopcy zdążali, szły kobiety i dzieci po grzyby.

— Ach! jak tu pięknie! — zawołał Janek, a wtem na skraju lasu ukazała się sarenka jedna, druga i trzecia... i całe pierzchliwe stadko przemknęło w gęstwinę.

Chłopiec oniemiał z zachwytu, a tu znów, z pod stóp jego wymknął się szary zajaczek, powracający od zagonów kapusty. Janek poskoczył za nim, ale zajac miał lepsze nogi i po chwili znikł w trawie.

Po lesie zaczęły się odzywać nawoływania... hop, hop!... hu, hu!...

To zbierający grzyby, bojąc się zabłąkać, odpowiadali sobie.

— Niema jak las! — zawołał Stefan.

— Oh, niema! — powtórzył Adaś.

— Jabym całe życie w lesie mieszkał — dodał Stefan; — w zimie polowałbym na wilki i lisy, karmił głodne sarny i zajace, a w lecie od rana do nocy zbierałbym grzyby, jagody, orzechy i rozmaite zioła.

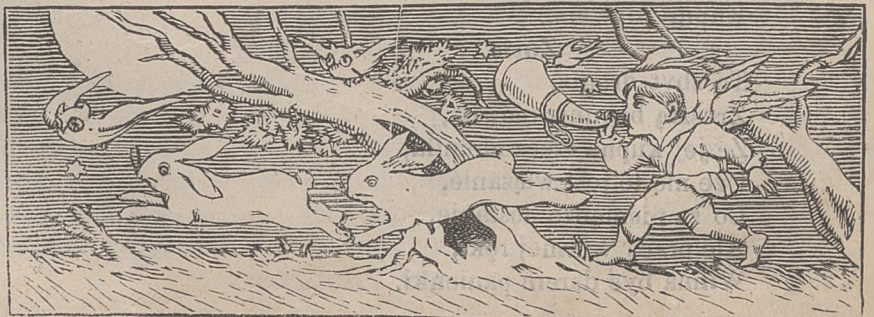
Janek był tegoż samego zdania i obiecywał sobie, że ile razy do wujostwa przyjedzie, codzień do dnia do lasu przybiegnie.

Szli w trawie wydeptaną drożyną, tuż nad wąskim strumykiem, pełnym ogromnych niezapominajek. † Przez wielkie liście paproci, przebijały się do kwiatków jasne promienie porannego słońca, a kwiatki podnosiły błękitne główki, jak dzieci powstające z pościeli.

Gdzieniegdzie, wystraszona ich krokami żaba, pluła głośno do wody, a chłopcy wołali wtedy uprzejmie:

— Najmocniej przepraszamy jejmość dobrodziejkę, za przerwany spacer!

Tak zwolna, doszli do pięknej polanki, na której uwijała się szybko dziewczynka.



Szukała grzybów, bedłek, co się da, aby zanieść coś do domu na śniadanie.

Wszyscy starsi, zbierający po lesie, mieli już prawie pełne kosze i do powrotu się zbierali, a jej koszyczek w połowie jeszcze nie był napełniony.

Z oczami pełnemi łez, oglądało się dziecko na odchodzących i schylało coś chwila.

Chłopcy widząc to, żwawo zabrali się, aby małej dopomódz. Janek znalazł cztery wielkie sarny, dwa stojaczki, Adaś dziesięć różowych gołąbków, a Stefek sześć prawdziwych grzybów.

Koszyk Jagusi napełnił się szybko i dziewczynka, podziękowawszy paniczom, prędko pobiegła za odchodzącymi.

Chłopcy znaleźli jeszcze kilkanaście młodych maśluchów, narwali szafirowych dzwonek, przypatrzyli się trzem wiewiórkom, skaczącym po gałęziach i w wybornym humorze powrócili do domu.

A. Z.

## WIĄZANIE WNUCZEK.

OBRAZEK DRAMATYCZNY.

OSOBY:

Zosia, lat 12. Jadwisia lat 10.

(Rzecz dzieje się w mieście).

ODSŁONA I.

(Scena przedstawia pokój mieszkalny).

SCENA I.

Zosia (sama).

(Siedzi, trzymając w ręku książkę, którą opuszcza i na kolona i zamyśla się).

Nudzi mnie dzisiaj czytanie,  
Bo myśl czem innym zajęta.

(po chwili).

Coby to dać na wiązanie  
Babuni, przy dniu jej święta?

SCENA II.

Zosia, Jadwisia.

Jadwisia (wychodzi z lalką w ręku).

No iść, Zosiu, i coś damy?

Zosia.

Trzeba się poradzić mamy,  
Ja nic wymyślić nie mogę.

Jadwisia.

Kupmy dywan...

Zosia.

To zbyt drogie,  
Zresztą babunia mówiła,  
Że jej kupna rzecz niemiła,  
I że nie to jest wiązanie,  
Co za pieniądze dostanie,  
Ale praca własnej ręki,  
Winna być darem panienki.

Jadwisia.

Więc cóż zrobić?

Zosia.

Nie wiem sama,  
Chyba nam poradzi mama.

Jadwisia.

Możebyśmy teatr grały?

Zosia.

Teatr? Na to czas za mały,  
Zresztą, wszakże dwie nas tylko.

Jadwisia (prędko).

Poprośmy Kazię z Emilką,  
One chętnie nam pomogą;  
To uczymy babcię drogą.

Zosia.

Lecz zkądże wziąć dobrej sztuczki,  
W której kochające wnuczki,  
Wdzięczność by swą okazały  
I miłości ogrom cały?

(Chwila milczenia).

Zosia (zrywając się nagle z miejsca).

Co za radość! pomysł nowy  
Przyszedł mi nagle do głowy.

Jadwisia.

Ach, mów pręko, co takiego?

Zosia (poważnie).

Coś bardzo, bardzo pięknego!  
Słuchaj tylko, rzecz jest taka:  
Wiesz, jak babunia poczciwa,  
Darzy każdego biedaka,  
Który jej pomocy zwywa;  
Wiesz, jak zawsze otoczoną  
Jest przez swoich biednych grono,  
I jak do litości skora,  
Gdy się dowie, że jest chora  
Matka ubogiej rodziny,  
Nie czeka ani godziny,  
Tylko pośpiesza z pomocą;  
I czy to dniem, czy też nocą,  
Nie szczędzi trudu ni pracy.  
Kochają też ją biedacy,  
Mówiąc ze łą: pani święta,  
Niech ci Pan Bóg to pamięta!

Jadwisia.

Ja to słyszałam od mamy,  
Lecz mów, co babuni damy?

Zosia (z zapalem).

Mamy pieniądze; sposób łatwy,  
Kupmy płótna, perkaliku,  
Koszul i sukien bez liku  
Poszyjmy dla biednej dziatwy,  
I zabawki nasze stare,  
Złożmy dla nich na ofiarę.

Jadwisia.

Zgoda, zgoda, doskonale,  
Ja dam nawet moją lalę.

Zosia.

A potem, jako wiązanie,  
Wszystko babuni oddamy;

Napiszmy powinszowanie,  
Zobaczy, jak ją kochamy.

(po chwili).

Ale nie rządźmy się same,  
Trzeba o to spytać mamę,  
A gdy ona to pochwali,  
Trochę sama dopomoże,  
To i reszta pójdzie dalej.  
Biegnę zatem w Imię Boże.

(wybiega).

(d n).

Marya Weryho.

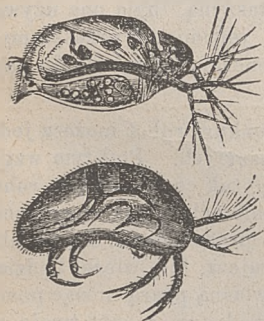
## Co znalazłem w błotach i kałużach?

### 20. Rozwielitka.

Postanowiłem badać życie stworzeń wodnych w domu, w tym celu zabieram ze sobą słoje, czerpię w różnych miejscach stawu wodę i wracając, patrzę przez lupę.

Dziś uwagę moją zwrócił mały raczek, rozwielitką zwany. Ciekawy bardzo z tego powodu, że ma na sobie zupełnie przezroczystą skorupę; mogłem dojrzeć wszystkie organy wewnątrz ciała. Malutka taka, zaledwie główki szpilki dorośnie, jedno oko na głowie, a skacze rozwielitka jak olbrzym i to przy pomocy małych różków czy nóżek, (nie wiem jak je lepiej nazwać), które ma tuż przy głowie.

Widocznie żyje gromadnie, bo raz jeden tylko zanurzyłem słoik i złapałem ich kilkanaście.



Przytem niezmiernie są wytrzymałe; zdarza się nieraz, że bagnisko, w którym przebywały rozwielitki, wysycha w czasie upału i rozwielitki zamierają.

Ale niechno tylko znowu woda je zwilży, rozwielitki odżywają, jakby się ze snu zbudziły.

O tem dowiedziałem się z książki.

Julia Piasecka.

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

szczęśliwie dotarłam nad Wisłę, gdzie tymczasowo bozowaliśmy, wkrótce też nadszedł ojciec. Wypadek, óry stał się głośny, utrudniał nam dalszy pobyt nieście, przytem obawialiśmy się śledztwa, policyi, odiedzialności! Zwinęliśmy namioty, ruszyliśmy nocą ogę — rano byliśmy już kilkanaście mil za War-

Tu Mira zatrzymała się chwilę, aby głębiej odechnąć, gdyż mówiąc szybko zmęczyła się, przytem oczy zaszyły jej łzami.

— Odtąd mała Nelly stała się moją własnością, ale też i mojem nieszczęściem! Coś zabiło we mnie wesołość, pustotę, szczęście! Gdy spojrzałam na nią, widziałam jednocześnie jasną głowę jej matki, pochyloną nad zranionem dzieckiem komedyanta; gdy wołała mamę, mamę, czułam w mojem sercu głos, który mi mówił: Miro, ty jesteś hyeną, panterą, potworem, ale nie dziewczyną!

— Rok cały hołubiłam maleńką, własną pieczęcią i troskliwością starałam się zastąpić jej matkę i na własną głowę i ramiona przyjmowałam razy przeznaczone dla niej przy nauce. Dotąd znosiłam, bo zawsze miałam nadzieję, że znajdę kogoś z tego kraju, kto dziecko zwróci rodzicom. Ta chwila nadeszła, ty Ralfie możesz to zrobić! Obojgu daję wolność, oboje wróćcie do swoich, a tobie jako starszemu powierzam nad małą opiekę. Co masz robić, opowiem ci w skróceniu! Pociąg zawiezie was wprost do Wiednia, stamtąd dostaniecie się do Krakowa, a później do Warszawy; ja wam drogę ułatwię. Gdy będziesz na miejscu, zwrócisz się do kogokolwiek — na własnej ziemi, przy pomocy dobrych ludzi łatwo odnajdziesz matkę dziecka i swoją własną zagrodę.

Wojtaszek, wzruszony do głębi opowiadaniem, pochwycił rękę Miry i do ust ją podniósł, lecz mu ją wyrwała!

— Nie, nie, tego nie rób, jam tego nie warta, lepiej posłuchaj, co ci mam jeszcze powiedzieć.

— Tu w woreczku masz pieniądze, niewiele, bo więcej nie mam, ale powinny wam wystarczyć, oszczędzaj więc, gdyby wam jednak zabrakło, umiesz grać na flecie. Graj więc po podwórkach. Nellę ubierz w jej kostyum, niech tańczy. Tym sposobem możecie zarobic na chleb. Pościgu się nie obawiajcie, mój ojciec nigdy już do waszego kraju nie przyjedzie.

Skończyła, oczy jej znów zwilgotniały.

— Więc to już wszystko, nic więcej dla was zrobić nie mogę.

— A ty, czemu z nami nie pojedziesz, Miro? — spytali oboje? — Ja z tobą mniejbym się bała — dodała Nelly. — Czardaja nie lubię, ale tyś dobra, o dobra!

Mira całowała dziecko w rozczuleniu, i przyciskała rozpalone swe policzki do jasnej jej główki.

— O ty kochane, drogie stworzenie, ty chcesz bym z tobą jechała? Cóż ja bym tam pośród was robiła, każde z was wróci do swoich, będzie wam dobrze, a ja? Ja także powrócę do namiotów, a gdy będę wiedziała, że już Nelly nikt rączek i nóżek wykryć nie będzie, i że ty Ralfie nie będziesz smutnie spoglądał w tę stronę, skąd cię przemoc wyrwała, to i mnie może wróci dawna pustota i wesołość. Może znów, tak jak dawniej, będę ulubienicą publiczności! Może! Ale.. alboż ja wiem, czy mi serce z tęsknoty za wami nie pęknie. Przez was stałam się lepszą.

Otarła oczy.

— Czy już wszystko do drogi gotowe? — spytał Wojtaszek.

Ależ gdzie tam! W pośpiechu o mało nie zapomniała o rzeczy najważniejszej. Trzeba przecież dzieciom zapewnić opiekę!

Teraz przed Mirą stanęła największa trudność. Czy zdoła ją pokonać? Kiedyś przed kilku laty, gdy była maleńką dziewczynką, Hagieli uczył ją czytać i pisać po węgiersku i niemiecku. Umiała podobno niezłe, a nawet lubiła czytać niemieckie bajeczki o kotkach, pieskach i grzecznych dzieciach. Pisywała także w dużym kajecie, dużymi literami, ale to tak dawno, może już dziś wcale nie potrafi, pewnie zapomniała!

Rozkłada jednak papier na stole, a ująwszy pióro w drżące palce, wodzi niem pomaleńku. Jest tak zajęta, że nie słyszy pytań dzieci, przypatruje się z zajęciem dużym, niekształtnym literom.

Właśnie stawia ostatnią głoskę, gdy ktoś puka do drzwi.

Zrywa się z przerażeniem. Nogi jej drżą, nie może mówić.

— Pogoń, pościg, Hagieli z Kulimem — myśli — a może ojciec? Co robić?

Stukanie coraz głośniejsze. Podchodzi do drzwi i nie otwierając z klucza, słabym głosem pyta:

- Kto tam?
- To ja, gospodarz zajazdu.
- Czego pan chce?
- Proszę natychmiast otworzyć, mam interes.
- Niech pan mówi.
- Cóż u licha, mam się za drzwiami tłumaczyć, proszę otworzyć, bo inaczej będzie źle!

Szarpnął klamką gwałtownie, a w tej chwili Mira klucz przekreśliła i drzwi się otworzyły. Stanął w nich czerwony od złości gospodarz.

— Mówiłaś — zaczął ostrym tonem, — że wyjeżdżasz południowym pociągami, dla czego nie zbierasz się do drogi? Jeżeli zmieniłaś zamiar i chcesz ten numer dłużej zatrzymać, to ci powiadom otwarcie, że nic z tego. Opuuszczaj go natychmiast.

(c. d. n.)



### ZAGADKA.

Litera w literze  
W Arabii początek bierze.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 33.

Zagadki: Lin — Nil.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Kruk. 2) Rosya. 3) Anczyć. 4) Sienkiewicz. 5) Zamek.
- 6) Ebro. 7) Wilanów. 8) Styks. 8) Kołpak. 10) Inwalidzi.

Kraszewski — Kaczkowski.

### Zadania konikowego.

Kto nie pracuje za młodu,  
Na starość doznaje chłodu.

## Skrzynka do listów.



Piszesz Złota Ostrogo, że pragnęłaś oddawna zaliczać się do szeregu naszych korespondentek, i że lenistwo jedynie stawało ci na przeszkodzie w spełnieniu tego życzenia. Masz zatem dowód, jak wiele złego wyrządzić nam może ta wada, skoro nawet stoi na zawadzie w osiągnięciu pożądanego przez nas przyjemności. Dziś jednak, gdy już najtrudniejszy, bo pierwszy krok zrobiłaś, mamy nadzieję, że nastąpi rozbrat z niepoczciwym leniustwem, i że pozyskamy w tobie stałą, życzliwą korespondentkę, której nie pozostaniemy dłużni w odpowiedziach.

Zawiadamy Halkę z Teterowa, że Baniuta pragnie zamieniać z nią karty korespondencyjne, i że najchętniej pośredniczyć wam w tem możemy, o ile warunki stawiane przez nas spełnione zostaną, to jest o ile rodzice lub opiekuni zawiadomią nas, że zgadzają się na tę zamianę.

Oczywiście Jaskółka ma w tobie szczerego przyjaciela **Wesoły Skowronku**, skoro wolisz wyrzec się przyjemności korespondowania w tej porze z ulubioną ptaszyną, byle ona używała swobody i odpoczynku po pracy. W jej imieniu przesyłamy ci życzenie, abyś używszy wakacji, z energią zabrał się do nauk, mających rozpocząć się niebawem.

Pytasz **Młoda Góralko**, czy na konkurs robót możesz jedną lub kilka sztuk przesłać ręką twoją uszytych. Pod tym względem zostawiamy wam zupełną swobodę, tak co do wyboru robót, jak i co do ich ilości, czyniąc to jedynie zależnym od możliwości i dobrych chęci. Ponieważ roboty te przeznaczone są dla ubogiej dziatwy, zatem im hojniej ją obdarujesz, tem więcej będziesz miała zadowolenia z dobrego uczynku, własną pracą niosąc pomoc potrzebującym. Wszystko jedno jaką drogą roboty twoje zechcesz nam nadesłać, okazują, czy też pocztą. W ostatnim jednak razie poniesiesz koszt przesyłki.

Okazuje się, że dobry przykład zawsze dodatnio działa, skoro **Czesia z Pińska** zachęcona naszą „Skrzynką” wrzuciła liścik do niej, po tej próbie, prosimy cię o częstszą wymianę myśli. Szarady twojego układu o ile nadawać się będą, z kolei właściwej pomieszczone zostaną; nadmieniamy tylko, że wyraz wzięty do szarady IV, powinien stać zawsze w pierwszym przypadku, zatem nie „papierosa” ale, papieros, być powinno.

**B.n.** odpowiadamy, że tylko niektóre arkusze tej powieści mamy w zapasie.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:** Złota Ostroga, Czesia z Pińska, Wesoły Skowronek, Marti, Dixit, Chmurka, Wróbelek, Aniela K.